

Lekko odświeżona bajka o miłości

PREMIERA | „Turandot” w Łodzi to rzadki przypadek wielkiego widowiska, któremu sukces zapewnił dyrygent.

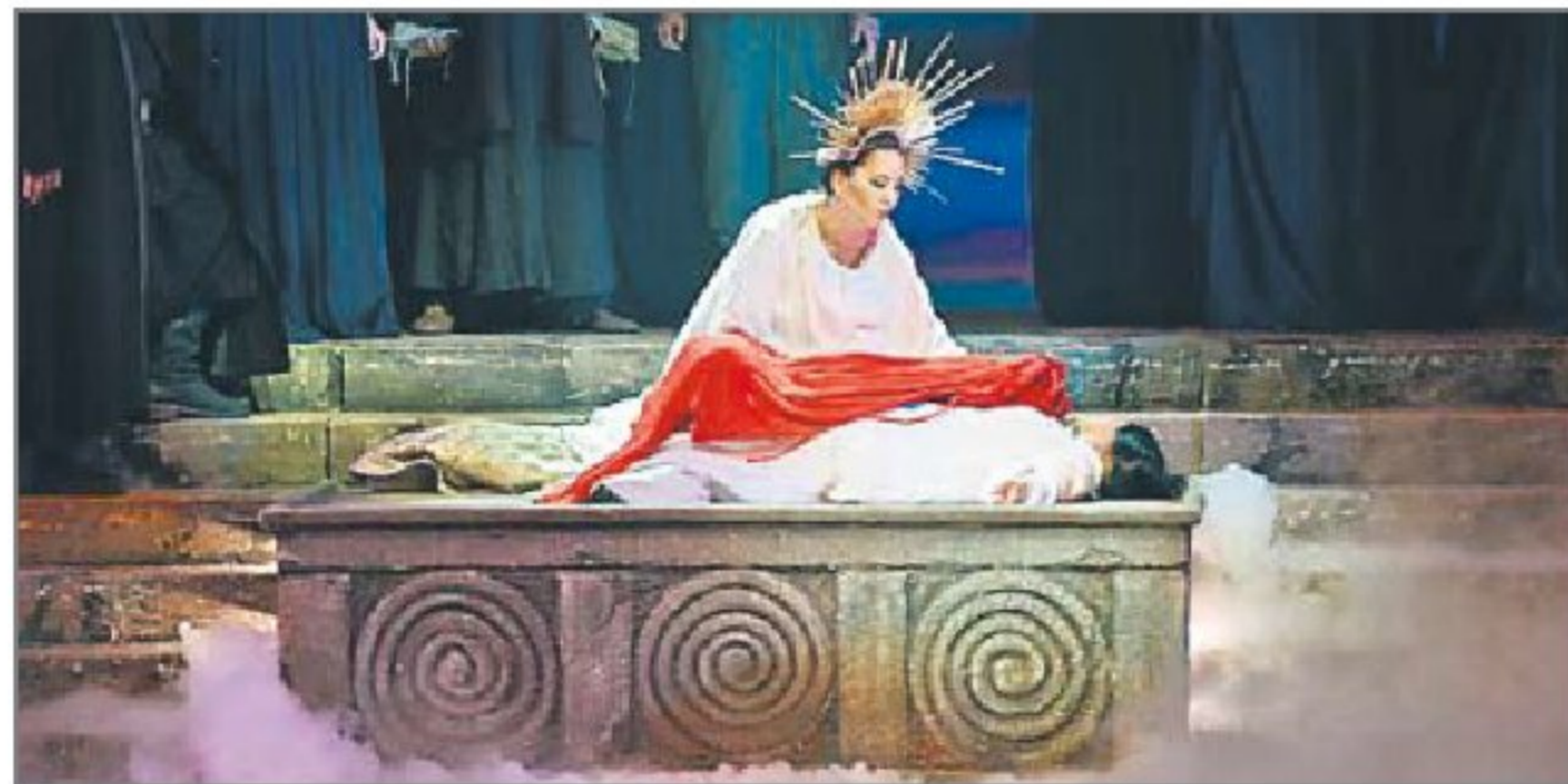
JACEK MARCZYŃSKI

Ostatnią operę Giacoma Pucciniego bardziej wystawia się dla oka niż dla ucha. Wprawdzie jest w „Turandot” kilka chwytliwych numerów, choćby aria „Nessun dorma”, którą ćwierć wieku temu Luciano Pavarotti wprowadził na listy przebojów muzyki pop, ale publiczność oczekuje przede wszystkim efektownej bajki miłosnej.

Taki też styl obowiązuje dla „Turandot”, czego przykładem jest legendarna, a obecna od dziesięcioleci w nowojorskiej Metropolitan inscenizacja Franca Zeffirellego. Włoch odtworzył na scenie pekińskie Zakazane Miasto, dodając orgię bajecznie kolorowych ko-

stiumów. Próby uczynienia z „Turandot” współczesnego dramatu psychologicznego skazane są na porażkę i szybko popadają w zapomnienie, jak niefortunna przygoda Mariusza Trelińskiego z tym dziełem w Operze Narodowej.

W Teatrze Wielkim w Łodzi Adolf Weltschek – specjalista od dużych widowisk plenerowych – starał się wybrać drogę pośrednią. Jego „Turandot” jest tradycyjna, zrobiona z rozmachem, bo oprócz solistów i chóru zatrudniono statystów i tancerzy, ale reżyser chętniej operuje skrótem czy symbolem, niż kopiuje egzotyczne, chińskie realia. W momentach zresztą, gdy sięga po te ostatnie, inscenizacja ociera się o kicz, by wspomnieć pałacowe zabawy mandarynów



♦ **Lilly Lee** (księżniczka Turandot) i **Dorota Wójcik** (Liu)

czy cesarza zamienionego w Piaskowego Dziadka z niemieckiej dobranocki.

Najlepiej wypadają sceny, w których dekoracje Adolfa Weltscheka i Małgorzaty Zwolińskiej jedynie delikatnie sygnalizują miejsce akcji. Cały

zaś spektakl jest mroczny, bo przecież akcja głównie rozgrywa się w nocy. Dominują ciemne barwy, z którymi ładnie kontrastuje krwisty strój głównej bohaterki.

Dla łódzkiej publiczności, która w ponad 60-letnich

działach swego teatru nie miała okazji zobaczyć „Turandot”, spektakl będzie wydarzeniem. A w pierwszym spotkaniu z operą Pucciniego widz otrzymuje klasyczną bajkę o księżniczce, która skazywała na śmierć konkurentów do ręki, bo nie potrafili odgadnąć jej zagadek. Aż przyszedł książę Kalaf i Turandot odkryła siłę miłości.

Bajkę ożywiają główni wykonawcy. Wprawdzie na premierze koreański tenor Charles Kim był niedysponowany i jako Kalaf pokazał jedynie część możliwości, ale za to Lilly Lee i Dorota Wójcik stworzyły świetnie skonstruowane postaci. Pierwsza o głosie mocnym i ostrym jak stal w roli Turandot dominowała nad wszystkimi poza liryczną,

przejmującą Dorotą Wójcik, która wykreowała wzruszający portret kruchej, a wewnętrznie mocnej Liu zakochanej w Kalafie.

Jednak bez Antoniego Wita „Turandot” w Teatrze Wielkim w Łodzi byłaby standardową próbą tchnięcia życia w konwencjonalne widowisko. Tak naprawdę to ten dyrygent, który po 18 latach wrócił do opery, odkrył widzom wartość dzieła Pucciniego i sens jego wystawiania. Pokazał, że poza słodkimi melodiami jest w „Turandot” dużo oryginalnej i nowatorskiej muzyki, odległej od tego, czego oczekujemy od klasycznej opery włoskiej. ©



Więcej zdjęć
z „Turandot”

rp.pl/kultura